

Mój drogi, czytam teraz esej Marcela Reich-Ranickiego o stosunku Goethego do krytyki, zatytułowany „Zabijcie go, tego psa...” (właściwie nie jest to esej, lecz zapis przemówienia dziękczynnego, wygłoszonego we Frankfurcie nad Menem po przyjęciu nadanej krytykowi przez miasto Plakiety im. Goethego) i przychodzi mi zdrożna myśl, aby ten tekst przetłumaczyć i wysłać do Ciebie. Może wydrukujesz? Zabawa byłaby podwójna: pokaże się, że olimpijczyk Goethe darzył krytyków najniższymi uczuciami, gardził nimi i niszczył ich, gdzie i jak mógł, a po wtóre byłaby to gościna Ranickiego na polskich łamach po niemal 30-letniej przerwie.

Przecież wiesz, o kim mówię? Mój rodak z Kujaw, tyle że z „białych Kujaw”, bo z Włocławka, onże Marceli Ranicki czynny był bardzo w naszym życiu literackim do roku 1956 (z jego socrealistycznego podręcznika literatury niemieckiej trochę uczyłem się do kolokwium), lansując mocno piśmiennictwo NRD, m. in. ulubioną swą pisarkę Annę Seghers, a po Październiku zniknął nagle, aby wkrótce ukazać się za Łabą i osiągnąć, po paru zaledwie latach, status papieża krytyki literackiej w RFN. Do nazwiska przybył jeden człon (pisze się on teraz Reich-Ranicki), a z nazwiskiem powiązała się emanacja prawdziwej grozy. Bo chociaż go pisarze w RFN szanują, to

jeszcze przed chwilą, dostownie, toczyły się procesy poznańskie, a i od samych wydarzeń czerwcowych dzieliły nas zaledwie cztery miesiące. Byliśmy tedy pierwsi pośród tych, którzy temat skutecznie podjęli, oddając głos samym robotnikom. Numery rozchwytywano, rozeszły się chyba w 30-tysięcznych nakładach, co na tamte lata, w tygodniku regionalnym, było nakładem bardzo wysokim.

A teraz pomyśl, z jakim uczuciem brałem do ręki dokumentację owego Czerwca, wydaną po wielu latach w Poznaniu pod redakcją Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej, rzecz, w której nie ma jednego marnego słowa o tekstach Dziadonia, czyli, o naszym, wydrukowanym przecież świadectwie Gortej, nie ma tam również jednego słowa o zgłoszonej przez nasze pismo inicjatywie poznańskiego pomnika!

Ponieważ może to zainteresować przyszłych badaczy powiem, że z ideą pomnika Czerwca przysłała do naszej redakcji grupa ludzi równie jak my młodych; pamiętam, że był wśród nich Kazimierz Braun (onże od Norwida i od „teatru otwartego”), był Bohdan Adameczak, dziś redaktor „Ziemi Kaliskiej”, była jakaś dziewczyna. Prosiłi, aby zamieścić apel w sprawie uczczenia pomnikiem pamięci ofiar wypadków. W redakcji doszliśmy jednak do wniosku, że pomnik, który upamiętni

sceny przez nią kierowanej nie można przechodzić obojętnie. Co stwierdzam tym chętniej, że sam w kompozycjach Wiśniewskiego nie bardzo gustuję.

Ten „Dom otwarty” Nyczaka jest zrazu bardzo smutny, zgaszony, jakiś taki szary, po czym staje się — jakby na rozkaz — rozpaczliwie śmieszny, aby na koniec znowu zastępnąć w odrętwieniu. Podczas spektaklu męczyła mnie myśl, żeśmy tę lekcję kiedyś już brali, tę lekcję ruchów zastępczych i pozorowanej wesołości. Przecież tuż po grudniu 1970 Jerzy Kreczmar reżyserował w Teatrze Wybrzeże również „Dom otwarty” i wtedy po raz pierwszy poczuliśmy się jakby przeniesieni w epokę po 1863, do tych saloników z apatyczną młodzieżą, która nie wie, czego chce, ze smutnymi matronami i zrezygnowanymi wujaszkami, którzy powstające szabelki powiesili na klinkach.

Czy muszę mówić, że takiej gry z historią nie akceptuję? W moim rozumieniu jest ona tak samo niewydajna intelektualnie, jak niewydajna byłaby historiozofia polegająca na wyszukiwaniu dziejowych analogii i wysnuwaniu z nich daleko idących dyrektyw na dziś. Nie ma bowiem w historii dwu sytuacji jednakowych, a zaś z sytuacji podobnych ucale nie muszą wynikać te same nauki i nie rodzą się te same dyrektywy. Życie jest zawsze prapremierą, dla każdego pokolenia, i w ka-

MICHAŁ MISIORYNY

# SIABJCZACJA?

bodaj bardziej jeszcze boją się go, gdyż jest weredykiem, lubi rąbać na odlew i „zalatwiać” książki, a takie zalatwienie przez Ranickiego może być katastrofą dla autora i dla wydawcy.

65-letni Ranicki jest dziś szefem literackim konserwatywnego dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, redaguje go od tej literackiej strony interesująco, dba też o publikacje autorów polskich w odcinku powieściowym gazety, chociaż politycznie zaszedł daleko na prawo: do pisania recenzji z książek naszych autorów dość często wynajmuje Tadeusza Nowakowskiego z Monachium, zaś do odcinka powieściowego wybiera dziś raczej Kazimierza Brandysa niż Dąbrowską, którą drukował jeszcze kilka lat temu. Ale pal sześć! W końcu nie będę go nawracał na dawniejszą lewicowość, chciałbym tylko „pokazać” go, jaki on jest jako ten nowy olimpijczyk, w tym jednak różny od Goethego, że właśnie jest krytykiem, nie poetą. To jak? Zechceś wydrukować? Tylko uprzedzam, będzie tego dosyć dużo, trochę więcej niż cała strona „Życia Literackiego”.

Piszę po dłuższej przerwie wakacyjnej, którą przeznaczyłem na zajęcia praktyczne (malowanie mieszkania przy pomocy mistrza Karczewskiego, ale nie tego od głośnej w Warszawie awantury z portretem, tylko zwyczajnego malarza pokojowego) oraz na lektury. To znaczy: przesuwalem graty, sprzątałem po malarzach i czytałem, czytałem i sprzątałem, i tak przez sześć tygodni. W przerwach odbyłem jeszcze kilka podróży po kraju: do Poznania (o czym za chwilę) do Gdańska, do Wałcza (tam w lasach przebywała na obozie harcercskim moja Joasia), do Tczewa, do Zakopanego. Pobyt na obozowisku 63 WDH trochę mnie wzruszył, gdyż przypominały mi się

wyłącznie Czerwiec, będzie umyślać jedynie część ofiary, jaką złożyli ojczyźnie w nowszych/czasach Wielkopole, no, i rada w radę poszerzyliśmy formułę apelu (z tym, że ów „węższy” projekt również ogłosiliśmy). I co? I nic. W grubym dziele Maciejewskiego i Trojanowiczowej nie znajdziesz na ten temat nawet wzmianki.

Mogę tylko domyślać się, dlaczego tak postąpili uczeni redaktorzy dzieła, ale domysły moje nie będą dla nich pochlebne. Krótko mówiąc, ja, czyli redaktor naczelny pisma, i mój zastępca, Zdzisław Romanowski, a także koledzy Włodzimierz Braniecki i Bohdan Czarnocki (wszyscy do dziś paramy się dziennikarstwem) byliśmy (wyjąwszy samego autora dokumentacji, Staszka Dziadonia) członkami bądź kandydatami partii. Inaczej mówiąc, byliśmy jako świadkowie i inicjatorzy pomnika „nieupodni”! Prawdziwy uczonej, jakim jest podobno Maciejewski, komu innemu musiał w roku 1981 składać ofiary z prawdy materialnej, komu innemu musiał palić świeczkę. Wedle jego książki inicjatywa zrodziła się gdzie indziej, kto inny też publikował pierwszą dokumentację, i w ogóle wszystko było inaczej...

Nie obawiaj się, nie zamierzam pisać poematu o tygodniku, który istniał tylko jeden rok i kwartał, i zgasł, i został zapomniany. Miał on także liczne wady, ale niech już o nich pisze raczej młody kolega Jarosik z „Wprost”, bo mnie nie wypada. Smutno tylko, że to już tyle lat minęło od tamtego chmurnego czasu.

Teraz powrócę do teatru. Jak chyba wiesz, Iza Cywińska była moją koleżanką z roku, tyle że ja byłem filologiem, ona zaś bodaj archeologiem. A do tego była najładniejszą dziewczyną na boisku siatkówki, usytuowanym tuż pod moim akademikiem przy al. Sta-

żym pokoleniu trzeba układać się z nim na nowo i od nowa, z zastosowaniem w życiowej praktyce krytycznego rozumu. A co nam może dać odkrycie, że dziś to jest przedwczoraj, tylko trochę dalej?

To znaczy: wiem i rozumiem, że są ludzie, a przede wszystkim artyści, którzy noszą w sercach wiele gorczy i rozczarowań. Nawet sądzę czasem, że mają do podobnej reakcji prawo właśnie jako artyści. Ale co dalej? Ma się uformować jeszcze jedna generacja widzów, szczególnie młodych, która wychodzi z teatru w przekonaniu, iż na tle Bałuckiego (!) odkryła istotną prawdę o sobie i swoim położeniu wobec żywej historii? Myślę, że to bardzo trudna rzecz zrobić dziś teatr nie-tuzinkowy w sensie myślowym. Nb: wiem, że Bożena Winnicka już donosiła czytelnikom „Życia Literackiego” o tym „Domu otwartym”, więc tylko dodam: bardzo to udane i konsekwentne przedstawienie, i sporo w nim ładnych ról, a i nastrój (którego nie znoszę) też jest wytrzymały. Tytuł jest zarazem „niesłuszny”, jak mawia KTT.

Siedziałem na widowni w Nowym tym mocniej poruszony, że w przeddzień wyjazdu do Poznania widziałem „Wesele” Kazimierza Dejmki w Teatrze Polskim. Zostało ono oparte na uderzającym podobnej zasadzie historiozoficznej, tzn. „Wesele” odożyło się bez wesela w tle, bez jednego taktu muzyki, było szare, smutne, trochę rozpaczliwe, zwolnione w rytmach i jakby konserwatywne w eksplikowanych upodobaniach (tak np. odebrałem finał napomnień Stańczyka), zaś poza tym logiczne, no i bardzo dobrze w paru rolach zagrane. Tak więc znowu ten nastrój „po” 1863, znowu ta „wątpliwość”, czy aby mamy prawo mieć na-



1949, kiedy, będąc sekretarzem Komendy hufca w T., rozstawałem się z harcerstwem dawnego typu.

O wyjeździe do Poznania chcę napisać obszerniej, gdyż poruszona tam zostały struny sentymentu i odezwały się tony drastycznie współczesne. Właściwie pojechałem do Teatru Nowego, aby zobaczyć „Dom otwarty” w reżyserii Janusza Nyczaka, o którym wcześniej to i owo słyszałem. Alłści przed spektaklem dopadł mnie młody dziennikarz z tygodnika „Wprost” (jaki ambitny tytuł!), Eugeniusz Jarosik, zaciągniął do kawiarni i jał wypytywać o „Wyboje”. Pamiętasz taki tygodnik „studentów i młodej inteligencji”? Ja naturalnie pamiętam, bo sam go z przyjaciółmi robiłem. Właśnie „Życie Literackie” skwitowało pierwszy numer „Wybojów” wzmianką, na pół ironiczną, na pół serdeczną, w której namrzęsalicnie się z nazwy pisma, ale i życzyliście młodym z Poznania powodzenia.

Czy mieliśmy powodzenie? Różnie było. 30 września 1956 (z datą 3 października) ukazał się pierwszy numer tygodnika, a był to jeden z grzbitów fali, która wyniosła także krakowską „Zebrę”, wrocławskie „Poglądy”, gdańskie „Kontrasty”, przemianowane następnie na „Uwaga”, i inne tytuły. Młodego człowieka, owego kolegi Jarosika z tygodnika „Wprost”, nie było wtedy jeszcze na świecie. Ale tak już chyba musi być, tak jest prawidłowo. Ciekawe nd., co on o „Wybojach” napisał, jak nas zobaczył na tle naszej, czyli tamtej epoki?

Otóż w 6 lub 7 numerze „Wybojów” Staszek Dziadoń zaczął drukować swą głośną, trzy-, a może tylko dwuodcinową dokumentację poznafiskiego Czerwca, opartą na rozmowach m. in. z Matyją, głośnym wtedy działaczem robotniczym z zakładów HCP. Był to tekst z wielu względów rewelacyjny:

lingradkiej. Okno naszego narożnego pokoju na parterze bywało łożą, z której obserwowałem z kolegami grających, najwięcej dopingując tę właśnie długonogą gazelę o zdumiewającej, brzoskwinowej cerze. Potem straciłem Iżę z oczu, gdyż po pierwszym roku przeniosła się na UW. Kiedy po niejakim czasie zaczęła reżyserować w teatrach, upewniałem się w pierwu, czy to aby ta sama Cywińska, ta z wykładów marksizmu u profesora Władysława Markiewiczza i z boiska przy Stalingradzkiej. W Kaliszu, kiedy objęła dyrekcję teatru, już wątpliwości nie miałem: ta sama.

Jest naturalna, swobodna. Mówi: „Wszyscy mi gratulują z powodu sukcesów Wiśniewskiego, możesz i ty mówić do mnie „pani Wiśniewska”. W podobnym tonie opowiadała kiedyś o internowaniu w pierwszych tygodniach stanu wojennego, ale podejrzewam, że była to pewnego rodzaju zasłona, skrywająca bardzo poważne doświadczenie. Jakie dziwne i powikłane bywa to nasze polskie życie! Po Warszawie chodzą tacy, co to marzyli o internowaniu i „za karę” udają teraz, że takich jak ja wcale nie poznają. Iza przechionie, zachowuje się normalnie, co oznacza, że zdolna jest wcielić pewien ideał zamknięty w wyobrażeniu sytuacji, w której ludzie, rozdzieleni poglądami politycznymi, jednak znają się, witają, rozmawiają uprzejmie, nawet współpracują...

To znaczy, ja tu nie dociekam, czy różnią nas poglądy polityczne, gdyż — co się tyczy Izy — bardziej mnie zawsze interesowało, czy jest dobrym dyrektorem teatru. No, jest dobrym dyrektorem. Wprawdzie z ostatnich prac Nowego znam tylko spektakl Wiśniewskiego i ten „Dom otwarty” Nyczaka, ale to już dość, wystarczy, aby stwierdzić — w oparciu także o dawne obserwacje (dyrekcja w Kaliszu i wcześniejsze lata Nowego) — że mimo

Na marginesie chcę tu jeszcze pomieścić wyznanie kabaretowe. Otóż na widowni Teatru Polskiego zawsze bierzem mnie ochota chichotać nieprzystojnie podczas przedstawień, a już na „Weselu” ta chętką była bardzo silna. Powód? Nigdzie w Polsce nie zobaczysz na scenie takiej jak tutaj kolekcji byłych prezesów, posłów, członków i przewodniczących, by już nie liczyć dziekanów, rektorów, profesorów, docentów i byłych dyrektorów. Ovo to osobliwe zgromadzenie rodzi we mnie, który mam jaką taką pamięć, pewnego rodzaju dystans — i już trzeba na scenie grać aż za dobrze abym ten dystans mógł skrócić w sobie do wymiaru bardziej umiarkowanego. I dlatego nie będę się dziś unosił nad grą Gustawa Holoubka, ani nad Poetą Andrzeja Łapickiego, ani nad Czepcem Dmochowskiego czy Gospodarzem Szczepkowskiego, tylko powiem, że jest też kilka niespodzianek w przedstawieniu (Rachel Jolanty Rusek, Marysia Marii Ciesielskiej), a także kilka rozczarowań (Państwo Młodzi, Dziennikarz), no i kilka mrocznych zagadek. Chcesz przykładu? Oto pierwsza z brzegu: jak sądzisz, dlaczego Déjmek skreślił scenę Zydą z Księdzem, przez co pół esencji wyciekło aż z trzech ról — Machowskiego, Ordona i Dmochowskiego? Nie pasowałyby taka scena do jednolitej tonacji „historiozoficznej” spektaklu? No, wątplię; istotny powód musi być inny...

Kończę. Zbliża się jesień, czas myśleć o nowym sezonie — co nam przyniesie, jakie zgotuje niespodzianki? Płotka warszawska, jak zwykle przed sezonem, przewiduje zmian bardzo wiele. Co do mnie uważam, że to, co z góry oplotkowane, przestaje być niespodzianką — i dlatego głosuję za stabilizacją. Z tym też okrzykiem (niech żyje stabilizacja! — byle duża, nie mała) ściskam Cię